

## Wojciech Stanisławski: Efekt Andersena-Benigniego

Dzięki Florescu mamy okazję spojrzeć z wysokości stołu, dachu, z którego podgląda się mieszkania w bloku naprzeciwko, brzegu banackiej rzeki na prowincję rumuńską lat 70. XX wieku w bardzo przewrotny sposób.

Dziecko, jak wiadomo, dostrzega zarazem więcej i mniej, co wiemy z okrzyku „Król jest nagi”. Nie widzi konwencji społecznych, tabu i zagrożeń – a jednocześnie przygląda się uważnie dorosłym, nieświadomym tego, że są przedmiotem obserwacji, i że z wysokości kolan czy pasa widać niesłychanie wyraźnie ich lęk, niepokój, zachwyty, zagubienie: to wszystko, co starają się ukrywać za gardą grymasu, rozmawiając z innymi dorosłymi. To niedostrzeganie konwencji umożliwia zadawanie kłopotliwych pytań, ale też dostrzeganie spraw, na które ślepniemy za sprawą konwenansu albo rutyny.

Ta wiedza bywa fenomenalnie wykorzystywana przez pisarzy, konsekwentnie opisujących świat „oczami dziecka” i dzięki temu ukazujących jego absurdy, zło czy śmieszność. Można tego próbować na różne sposoby, w konwencji humorystycznej (nieśmiertelny Mikołajek!), buffo (choćby Bora Ćosić z „Rolą mojej rodziny w światowej rewolucji”) lub całkiem serio („Zabić drozda” Harper Lee). A skoro tak, można również ukazywać oczami dziecka czasy nieludzkie. Tu również przykładów jest wiele – jednym z pierwszych jest

wstrząsające opowiadanie „Sielanka Siaj” Henryka Grynberga z lat 60., jednym z lepszych – „Wroniec” Jacka Dukaja (napisany w konwencji baśni, ale decydująca jest optyka dziesięcioletniego narratora), jednym z najnowszych – przezabawna i przesmutna dylogia Estonki Leelo Tungai „Mała towarzyszka i dorośli” oraz „Mała towarzyszka i listy” (KEW, 2022-2024).

## **Przeczytaj też: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”**

Dzięki Catalinowi Florescu mamy okazję spojrzeć z wysokości stołu, dachu, z którego podgląda się mieszkania w bloku naprzeciwko, brzegu banackiej rzeki na jeszcze jeden ludzki-nieludzki czas: na prowincję rumuńską lat 70. XX wieku.

Jest to spojrzenie pogodne, rozjaśnione złotem dzieciństwa – i żeby nie zachnąć się na niby-sielankowość tego obrazu, trzeba sobie uświadomić dwie rzeczy. Po pierwsze: zwykle słysząc socjalistyczna „Rumunia” wyobrażamy sobie, za sprawą własnych doświadczeń albo narratorów, które usiłują dokonać syntezy półwiecza komunizmu, kraj o dekadę późniejszy, kraj czasów upadku: chłodu i ciemności, Securitate i sierocińców, wielorazowych igieł płukanych w brudnej wodzie. Sadza Timișoary z grudniowego zrywu ’89 opada na kraj lat 70. – to zaś, przy wszystkich okrucieństwach i brakach tamtej dekady jest podobnym błędem poznawczym, co patrzeć na epokę Gierka tak, jakby w całości skuta była mrozem stanu wojennego. Po wtóre – warto odwołać się do prawdy dość przewrotnie (być może nawet wbrew intencji twórcy?) ukazanej w wierszu Wiktora Woroszyńskiego „Państwa faszystowskie”.

Wiersz ten w ostatnich latach zyskał, jak wiadomo, drugą młodość za sprawą uniesień kilkorga zaangażowanych politycznie aktorów, którzy chętnie recytują go publicznie, znacząco modulując głos tak, by „faszystowskie” lepiej rymowało się z „łagry Kaczyńskiego”. Nie zmienia to jednak klasy tego wiersza i gorzkiej ironii, z jaką Woroszyński ukazał kicz *gemütlichkeit*, nieznośną słodycz słońca, które w pierwszych wersach „Państw faszystowskich”

*wschodziło i zachodziło o normalnej porze opromieniając  
dachy domostw i wzgórz zieloną spadzistość W oborach  
łagodnie ryczało bydło Matki o świcie  
budziły dzieci całując je w czoło*

Brzmi to jak okrutne szyderstwo (albo jak opis pierwszych kadrów niezapomnianej sceny z gospody ludowej w „Kabarecie”), a jednocześnie, jak wiedział Woroszyński, jest prawdą, a nie tylko propagandowym płótnem: wzgórza naprawdę zielenią się, ojcowie majsterkują, dzieci bawią się w klipę, a „dziewczynki z dnia na dzień / zamieniają się w duże dziewczyny wypełnione szeptem / szmerem jak drzewa w lesie chichotem nagłym”. To prawda okrutna dla wszystkich ofiar (które z niedowierzaniem – przywołuję detal powtarzający się w wielu wspomnieniach z wojennej Warszawy – patrzą przez blindę więźniarki lub szparę wagonu towarowego na przepelnione plaże nad Wisłą) i wszystkich współczesnych, którzy słusznie sądzą, że ich powinnością jest dać świadectwo, że pisanie o dożynkach, przepisach, flirtach i ulewach w pewnych okolicznościach staje się podłym kłamstwem. Czy jednak oznacza to, że życie ludzi, którzy w takich

czasach – owszem, może i płytko dysząc, może i *nie czując pod stopami ziemi* – zasypiają w fotelu, muzykują z zapalem i podają chorym termometr – nie powinno zostać nigdy opisane?

Tym bardziej że powieść Florescu nie jest przecież produkcyjniakiem z epoki. „Efekt Andersena-Benigniego” (że pozwolę sobie tak nazwać sytuację „niewinnej relacji”, deszyfrowanej przez doświadczonego czytelnika) pojawia się już w na trzeciej stronie, w akapicie rozpoczynającym się od słów „W naszym kraju mieszkaliśmy bardzo blisko siebie. To umacniało naszą socjalistyczną świadomość, bez dwóch zdań. Ciaśniej byłoby tylko wtedy, gdyby nas wszystkich upchnięto w jednym mieszkaniu”. Można zresztą zaobserwować kilka klas tego efektu: wplatanie nowomowy w narrację w taki sposób, że natychmiast zostaje zdemaskowana (tak, jak w cytacie powyżej); neutralny, „przezroczysty”, a zarazem jednoznaczny opis („A więc tutaj odbywają służbę nasi chłopcy odbywają służbę. (...) Nasi chłopcy. Tak ich nazywa spiker w dzienniku telewizyjnym i jego głos zawsze przy tym drży. Głos może drzeć tak samo, jak drzeć może ziemia. W siedemdziesiątym szóstym drżała u nas ziemia. Ale kiedy drży głos, chodzi o sprawy wielkiej wagi”).

Pojawia się też szkatułkowe ujmowanie znaczeń języka, „dwójmyślenie” kilkuletniego narratora („W dzień i poza naszym mieszkaniem słowo «dysydent» było zabronione. Tata wprowadził ten zakaz, a ja z chęcią się temu poddałem”) i przytaczanie przezeń ojcowskich bon motów („Tata odpowiadał, że zaangażowanie narodu podczas szukania bananów, ziemniaków i innej żywności jest rzeczywiście niezwykle”). I połączenie dwóch sytuacji, naiwności syna i cierpkości ojca („U nas w domu nie potrzebowało się reklam, żeby przekonać ludzi do jedzenia. Kolejki były długie, a największym zmartwieniem ojca było obudzić się

bez stosunków. Ten, kto budził się bez stosunków, musiał wyruszać bardzo wcześnie i ciepło się ubrać. Tata utrzymywał stosunki z reflektorami i częściami zamiennymi do samochodów”).

Z tym wszystkim – koniecznością posiadania stosunków, lękiem przed napiętnowaniem jako „dysydent”, ciasnotą, faktem, że „w dzienniku telewizyjnym omawiano inne sprawy: muzykę chóralną, przywódcę albo zbiory” i przygnębiającą nadprodukcją słojów z przecierem pomidorowym – przedstawiony świat nie jest pozbawiony uroku, tajemnic i tytułowych cudów. Dzieje się tak po części za sprawą oswojenia codziennych udręk: powszechnego słuchania zachodnich rozgłośni („[do naszego] sportu narodowego potrzebowaliśmy radia, kciuka i palca wskazującego, żeby wyszukać odpowiednią audycję”) i puszczania w telewizji zachodnich filmów. A także długiego lata, długich wieczorów, gałęzi ciężkich od moreli oraz pikników, na których „wnętrze auta było po brzegi wyładowane koszami, kocami, parasolami od słońca, radiami i torbami (...) które były prawdziwymi rogami obfitości i kobiety wyczarowywały z nich wszystko, co możliwe (...): napoje, słodycze, pieniądze na lody z wiejskiej kawiarni (...), książki, gumę do żucia i papier toaletowy”.

Na pikniki jeździ się z rodziną, barwną i pokrzywioną jak z Felliniego („Wujek miał czerwone policzki z powodu problemu alkoholowego, miał też sparaliżowaną rękę i mówił po mongolsku”), bałkańsko obfitującą w kuzynów. Ale nad wodami dzieciństwa jest ich tak naprawdę dwoje – mama i tata. Zwłaszcza tata, który „wyglądał jak włoski aktor. Taki z pieniędzmi” jest tak fascynujący – dla syna („brał mnie za rękę i szedł powoli. Ojcowie się na tym znają”) i tak fascynująco dwuznaczny – dla nas. Nieulękły, jeśli chodzi o zdrowie i pomyślność dziecka, przebiegły i spragniony życia – dla siebie.

Wyjątkowo dokuczliwie uwikłany w dwuznaczność życia w komunizmie, jako administrator bloku, do którego biura czasem zaglądał „dzielnicowy, który podobno chciał spytać ojca o zdrowie. (...) Ojciec był zawsze uprzejmy”), ale zarazem – ryzykujący los syna i własne życie, żeby pomóc uciekinierom, szukającym drogi do granicy. Nad wodami dzieciństwa są jeszcze książki, które piętrzą się w ciasnym dwupokojowym mieszkaniu, w jeszcze ciaśniejszej klitce babci: „małe tomiki, niebieskie, czerwone albo żółte. Wypisano na nich nazwiska: Proust, Goethe, Tołstoj, Swift, Twain, Balzac, Maugham. Wilde. Prousta było najwięcej”, i którymi – jak czasem, w szczęśliwych domach, się zdarza – nasiąka główny bohater.

Na tym nie koniec kolorów. W powieściach Florescu („Czas cudów” jest trzecią która, dzięki Pograniczu, ukazuje się w Polsce) fabuła komplikuje się i podąża mocno skomplikowanymi ścieżkami, czasem ze szkodą dla wiarygodności. Nie inaczej stało się i tutaj, uzyskanie paszportu ze względów medycznych, podróż do Rzymu, a nawet dalej, niewątpliwie do tytułowych cudów należy. Skoro jednak tej fantazji autora zawdzięczamy portret tak ciepły, jak rodziny Flumianów prowadzących pensjonat przy via Cesare Balbo (znów jak żywcem wzięty z Felliniego!) – zgódźmy się z nią, zwłaszcza jeśli pozwoliła na opisanie kolejnego fenomenu lat 70.: doświadczenia Zachodu przez dziecko i dorosłego z bloku wschodniego („Przed sklepem z akcesoriami samochodowymi tata całkiem o mnie zapominał. Wystarczy kilka opon, żeby ojcowie stawali się złymi ojcami”).

Nie brakuje w tej historii tarć i rozstań, nie brakuje poezji, wypowiedzianej całkiem wprost („Problemy mają kolor biały, bo tak właśnie barwią włosy ludzi”) albo mimochodem („Rodzice filmy o seksie oglądali na zagranicznych kanałach. Pokazywali je nasi sąsiedzi Jugosłowianie. W naszym telewizorze działy się wtedy dziwne rzeczy. Spikerzy mówili w obcych językach, ale ojcu to widocznie nie

przeszkadzało. Myślę, że seks to cudowna sprawa. Można wtedy rozmawiać w innych językach”). Jak to w dzieciństwie, choćby upływającym pod rządami Najwyższego Towarzysza.

*Wojciech Stanisławski*



CATALIN DORIAN  
FLORESCU

Czas cudów

eridian

eridian



**Catalin Dorian Florescu, „Czas cudów”, tłum. Maria Przybyłowska,  
Pogranicze, Sejny, 2025**

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---